

MAXIME ANDONIN.

Tajemnica umarłego.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

2

Posiadłość pana Louviers la Guarda znajdowała się o kilkanaście kilometrów od Coatepec, miejscowości połączonej z Jalopą tramwajem ciągniętym przez muły. Właściciel omnibusów z Jalopy nie wiedział jednak o śmierci swojego klienta i zdawał się być tą wiadomością bardzo zdumiony.

Oświadczył się z gotowością wyszukania mi przewodnika do Coatepec i polecił mi zwrócić się tam do znajomego swojego don Ramona, w celu wynajęcia u niego koni.

Przyjąłem tę propozycję skwapliwie.

Kilkunasto-kilometrowa wycieczka do Coatepec trwała bardzo długo. Przekonałem się przy tej sposobności, jak dzika i niedostępna jest ta część, może najbardziej malownicza z całego Meksyku. Dla podróżnego, droga ta przedstawia wielkie niebezpieczeństwa, nie tylko z powodu przepaści otwierających się nagle pod jego stopami, lecz i z przyczyny bandytów, ukrywających się chętnie w gąszczach i zaroślach.

Senor Ramon, któremu przedstawiłem się nazajutrz rano, natychmiast po przybyciu do Coatepec, był to tęgi zuch kościsty, spalony od słońca, który nie uczynił na mnie dodatniego wrażenia. Jego sucha, czerwona twarz, nos zakrzywiony krogulczo i oczy zasłane mgłą alkoholu nie mogły budzić zaufania.

Zaządał odemnie dziesięciu piastrow z góry, po czym oświadczył mi cynicznie, że zważywszy dobre jego stosunki z okolicznymi napastnikami, w towarzystwie jego nie grozi mi nic złego.

Podniecony gorączką i bliskością upragnionego celu, nie namyślałem się długo — dałem żądane pieniądze i wskoczyłem na siodło przyprowadzonego konia.

Droga, którą z mojego wyboru podążaliśmy, była długa i ciężka, a przede wszystkim tak górzysta, że niekiedy z niemałym trudem drapać się po niej mogliśmy. Niekiedy znowu wjeżdżaliśmy w wąskie, głębokie łożyska, zaścienione kamieniami, na dnie których z hukiem pędził strumień pieniący się, mając nad głowami zaledwie maleńki pasek nieba, tak że ciemność ogarniała nas zupełnie i miałem wrażenie, że zstępujemy do jakiegoś zimnego grobowca, z którego już nie będzie wyjścia. To znowu jechaliśmy przez tak gęste lasy, iż zdawało się, że lada chwila wzniesie się przed nami mur niebosiężny, nie do przebycia, utworzony z gigantycznych palm i krzewów wydających zapach odurzający.

I wszędzie, wokoło przed nami przeolbrzymie bogactwo wybujałej roślinności, tak różnorodnej i bogatej w gorący, jaskrawy koloryt, że oczy mrużyły się olśnione i zmęczone tym niezwykłym widokiem.

Po sześciu godzinach jazdy, w bajkowej, podzwrotnikowej tej dekoracji, wjechaliśmy nareszcie do doliny, gdzie krzyżowały się drogi z Coatepec, Hnatusco i la Guardy.

Byłem już więc niedaleko celu mojej podróży. Musieliśmy się jednak zatrzymać w jedynej znajdującej się oberży, gdyż noc już zapadała i dalej nie było można się już narażać.

Oberżysta, uraczywszy nas jakąś polewką z kukurydzy, wskazał nam ziemię ubitą, jako jedyne miejsce zdadne do spoczynku.

Pomimo silnego wyczerpania i zmęczenia, przed zaśnięciem ułożyłem sobie cały plan dalszego działania.

Przypuszczałem, że panna Louviers nie była tak strzeżona w la Guardzie, jak na pokładzie „Nawary“, wobec czego don Ramon mógł się z łatwością dostać do niej i prosić w moim imieniu na chwilę rozmowy.

Ale dla urzeczywistnienia tego zamiaru, byłem zmuszony wtajemniczyć tego, zupełnie obcego mi człowieka w całą sprawę, a przyznając, że coś mnie odpychało od tej ostateczności. Nie było jednak innego sposobu, a przytem zauważyłem, że Ramon czuł się na dźwięk złota, z czego wznosić mogłem, że chętnie zechce mi oddać tę przysługę.

Nazajutrz rano wyjawilem mu, ostrożnie dobierając słów, mój zamiar, obiecując mu sowitą nagrodę w razie pomyślnego załatwienia mojego zlecenia.

Oko mojego towarzysza zabłysło chciwością, a z ust jego popłynął wymowny potok słów, mających mnie przekonać o jego gorliwości i posłu-

szeństwie. W kilka minut później skoczył na konia i pomknął w stronę la Guardy.

Upłynęło zaledwie pół godziny od jego wyjazdu, kiedy dojrzałem zdążającego do oberży z przeciwnej strony człowieka na koniu. Był to sympatyczny drab, czarny, jak węgiel, o skręconych włosach, którego jasne i szczere spojrzenie budziło zaufanie i życzliwość.

Pozdrowił mnie pierwszy głębokim, melodyjnym głosem. Odpowiedziałem na jego powitanie i wymieniliśmy z nim kilka słów banalnych, spostrzegłem zaraz ze specjalnego jego akcentu, że należał do współbraci moich z południa. Natychmiast więc porzuciłem język hiszpański i zainteresowałem go w ojczystym moim języku.

— A to co? — zawołał rozpromieniony. — Pan jest Francuzem?

— Tak jest — odpowiedziałem, podając mu rękę. — Jestem z Paryża.

Zeskoczył szybko z konia i porwał mnie serdecznie w ramiona, śmiejąc się radośnie.

Już teraz byłem pewny, że pochodzi z Marsylii, gdyż tam tylko spotkać można taką impulsywną i bezceremonialną swobodę towarzyską.

I rzeczywiście wdech mój nie zawiodł. Był rodowitym Marsylczykiem i nazywał się Marius Cogles. Odpowiedziałem szczerością za szczerść i wymieniliśmy swoje nazwisko.

Twarz jego przybrała wyraz wielkiego zdumienia.

— Co? — zawołał, przysuwając się jeszcze bliżej do mnie. — Pan Fontaine!? Pan naprawdę nazywa się Fontaine?

— Lionel Fontaine — potwierdziłem, nie mniej od niego zdziwiony.

— I z Paryża? Ach! to coś ciekawego.

Odstąpił parę kroków odemnie i wyrzekł poważnie:

— Przepraszam za moją niedyskrecję i proszę zapomnij pan o moim pytaniu, jeżeli wyda się panu niewłaściwe. Czy nie jest pan przypadkiem krewnym pewnego przemysłowca, który zginął.

Nie dałem mu już dokończyć.

— Jestem jego synem — zawołałem wzruszony, chwytając go za rękę. — I właśnie przybyłem tutaj, aby raz uchwycić słowo zagadki, męczącej mnie tak długo. I słowo to usłyszeć mam z ust pewnej młodej dziewczyny, poznanej na pokładzie „Nawary“.

— Panny Louviers?

— Pan ją zna?

— Jestem zarządcą la Guardy. Pan Louviers za życia swojego zaszczycał mnie swoim zaufaniem.

Nie mogłem opanować wzruszenia, jakie mnie ogarnęło na te słowa.

— Panie Cogles — rzekłem, ściskając mocno jego rękę — mam nadzieję, że pan mi pomoże do rozwiązania zagadki, nad którą strawiłem lat tyle. Szukam na próżno panny Louviers i w pogoni za nią o mało już raz nie utraciłem życia.

Pociągnąłem go na ławeczkę i w krótkich słowach opowiedziałem mu cały przebieg zajścia na „Nawarze“, błagając go, by mi był pomocnym w dalszych moich poszukiwaniach. A może sam był panem tajemnicy, którą wyjaśnić mi miała panna Louviers? W takim razie powinien mi ją wyjaśnić, ponieważ młoda dziewczyna sama, dobrowolnie, niczem do tego nie zmuszona, pragnęła tak gorąco wywiązać się z polecenia, danego jej przez ojca w chwili jego śmierci.

Milczał chwilę zatopiony w rozmyśleniach, wkońcu podniósł na mnie oczy, w których jaśniała szczerść i silne postanowienie i rzekł, opierając serdecznie rękę na moim ramieniu:

— Tak, ma pan słusność, nie wolno mi teraz milczeć wobec pana. Wiem jednak nie wiele, ale to, co wiem, powiem i może pan zupełnie wierzyć moim słowom. Zdaje mi się przecie, że nie wiele z nich będzie pan mógł skorzystać. Zapewne wiadomem jest panu, że pan Louviers był kasyerem ojca pana?

Drgnąłem zdziwiony. Louviers kasyerem mojego ojca?! Tym kasyerem, który wówczas w tej krytycznej chwili był posadzony o udział w morderstwie? Zapomniałem o nazwisku tego człowieka, który zresztą jasno wykazawszy swoją niewinność, został wkrótce wypuszczony na wolność. I oto teraz znowu powracać musiałem do tego wspomnienia! Czyżby już teraz naprawdę zabłysnąć miało to światło, oczekiwane tak gorąco, w ciemnościach, w których dotąd błądziłem!

Tymczasem Marius mówił dalej:

— W czasie tym byłem chłopcem do posługi w skromnej kawiarni w dzielnicy, gdzie mieszkał Louviers. Przychodził on tam co wieczór po godzinach swojej pracy i zabawiał się w grę w domino z kolegami. W tych małych lokalach o prowincjonalnym zakroju, nie uczęszczanych przez cudzoziemców, wszyscy stali bywalcy znają się i wzajemnie

sobą interesują. Nawet pomiędzy gośćmi a personelem istnieje pewien rodzaj sympatii i życzliwej swobody. Z gorącym zainteresowaniem śledziłem wówczas cały przebieg sprawy pana Fontaine, do której wciągnięty był na czas pewien Louviers i z jaką radością przyjąłem wiadomość o jego uniewinnieniu. Był tam jakiś niedobry fakt z kluczem od kasy ogniotrwałej, ale on tak jasno dowieść, że noc zbrodni spędził u siebie, że sędziowie nie mogli dłużej nad tem się zatrzymywać. Ale jak można było choć na chwilę oskarżać tego człowieka o czyn tak okropny! Był on wzorowym, skrupulatnym i uczciwym zawsze urzędnikiem. Wiódł ciche życie w towarzystwie starej piastunki swojej, która prowadziła gospodarstwo jego domowe i opiekowała się małą jego córeczką. Jedyną jego rozrywką było codziennie zebranie z kolegami najlepszej opinii w naszej kawiarni. Co do mnie, nie potrzebowałem dowodów żadnych, aby uwierzyć w jego niewinność. Pomimo jednak uwolnienia przykra ta sprawa nie przestała go dręczyć. W trzy miesiące później, odziedziczywszy po wuju dosyć poważny spadek, postanowił wyjechać z kraju. Jak panu wiadomo, ojca pana łączyły stosunki handlowe z pewnym przemysłowcem z Cordoby. Przemysłowiec ten zaproponował panu Louviers nabycie okazjone wspaniałych plantacji w la Guardzie za cenę bardzo minimalną. Louviers skorzystał z propozycji i wyjechał do Meksyku, zabierając ze sobą córkę i mnie. Piastunka na życzenie swojej rodziny pozostała w kraju, mnie zaś nic tu nie zatrzymywało, bo byłem wolny, jak ptak.

Osiedliliśmy się więc w la Guardzie i dzięki usilnej pracy i wytrwałości, nie tylko podnieśliśmy wzrost całej farmy, ale jeszcze niedługo dokupiliśmy część okolicznych plantacji. Dziś la Guarda przedstawia się bardzo okazale i budzi chciwość i zazdrość niejednych.

Wszystkoby było poszło dalej dobrym trybem, gdyby nie miłość, która niespodziewanie stanęła na drodze pana Louviers. Jeździł on dosyć często w sprawach handlowych do Hawany i tam poznał egzotyczną i niebezpieczną parę intrygantów, Lopeza i jego siostrę. Senora Dolores, zrećzna i ambitna przy pomocy swojej kokieterii tak osłodziła pana Louviers, że ją poślubił.

Ale wraz z tymi ludźmi nieszczęście weszło do naszego domu. Lopez, utracysz i gracz zawołany, tak często zaglądał do portfela szwagra, że ten nareszcie oburzony zerwał z nim na zawsze stosunki. Senora Dolores zaś od pierwszego dnia znienawidziła swoją przybraną córkę i obchodziła się z nią w sposób ohurzający. W całym domu roznosiło się echo wstrętnych scen, wywołanych kaprysami i nerwami żony pana Louviers. W końcu znudzona domowym życiem, zapragnęła pochwalić się w Paryżu tualami i brylantami swoimi. Louviers musiał ustąpić i cała rodzina podążyła do Francji, z kąd mój biedny pan nie miał już powrócić.

Siostra i brat natychmiast po pogrzebie powrócili tutaj, zapragnawszy odegrać rolę prawdziwych posiadaczy la Guardy. Ale ja tu jestem i bacznie obserwuję wszystko. Wiem dobrze, że im zawadzam i pragnę się mnie pozbyć koniecznie, ale ja znoszę wszystkie ich złośliwości i zaczepki i trzymam ich w rękę. Już mi nieraz dobrze dokuczyło ich towarzystwo, ale czekać muszę spokojnie i cierpliwie na dojście pełnoletności Niny. Ona ma mnie jednego tylko oddanego jej całą duszą, strzed więc jej muszę i ochronić przed dyabelskimi zamiarami tej dobranej pary.

— Jakże to są zamiary? — zapytałem zaniepokojony.

— A co, mój kochany panie, ni mniej ni więcej tylko te lotry chcą zmusić Ninę do poślubienia don Miguela.

— Czy to być może? — zawołałem przerażony.

— Tak mój panie. Już ja dobrze wybadam!

— Ale jakże to być może! Ona miałaby zostać żoną tego bandyty?

— Tego pragnę właśnie!

— Ależ to żart chyba. Ona na to nigdy nie przystanie. O ile zdołałem poznać ją i zrozumieć ich wzajemny stosunek, sądzić mogę, że pogardza bratem swojej macochy i nienawidzi go.

— Ale oni się mogą obejść bez jej przyzwolenia. Nie jesteśmy na nieszczęście w naszym kraju, panie Fontaine. Są już w porozumieniu z księdzem i wójtem gminy.

— To niemożliwe! Nie może pan pozwolić, aby się spełniła rzecz tak niegodna!

— Spokojnie, mój panie! Powiedziałem już, że jestem tutaj i czuwam. Ci nędznicy nie potrafili sobie jeszcze zjednać Niny. To energiczna dziewczyna, gotowa w każdej chwili do ostatecznego kroku. Jeździ konno, jak mężczyzna i z rewolweru ptaki w locie strąca. I chociaż śledzą ją ustawicznie i nie wy-